

Irena Sikorska

Rozmawia Janusz Zemer, nagranie z 2011 r.

Irena Sikorska: Mieszkaliśmy w Lesznie, przy ulicy Gabriela Narutowicza 74, było nas dwoje, to znaczy mój braciszek – mówię o 39-tym roku – mój braciszek Henryk, miał wtedy 4 latka, ja – Irena, miałam lat 12. Był rok 1939.

Janusz Zemer: Czym się rodzice zajmowali?

IS: Tatusz był trychinoskopistą, pracował w rzeźni miejskiej w Lesznie, poza tym bardzo się udzielał społecznie, był inwalidą wojennym, był Powstańcem Wielkopolskim. Społecznie pracował w Związku Inwalidów Wojennych w Lesznie i w Związku Powstańców Wielkopolskich.

JZ: Mama?

IS: Mamusia, była panią domu, przygotowywała nam posiłki, uczyła nas przede wszystkim mowy naszej ojczystej poprawnej, uczyła nas również języka niemieckiego, ponieważ urodziła się w Niemczech.

JZ: Czyli to była taka patriotyczna tradycja w domu?

IS: Tak.

JZ: I co się dzieje teraz, jak wkraczają Niemcy?

IS: No to są bardzo trudne i ciężkie dla mnie wspomnienia, a szczególnie dzień 21 października w 1939 roku. Rano, o godzinie - bo ja wiem - już szykowałam się do szkoły, to mogła być gdzieś godzina siódma, po siódmej, kołatanie do drzwi, przestraszeni jesteście strasznie, otwiera tatuś, wchodzi dwóch cywilów, jeden mężczyzna w mundurze, widzę, że ma na ramieniu karabin i legitymuje ojca.

- Tomasz Wachowski?

- Tak.

- Proszę się ubierać i z nami.

I zabierają ojca. Ja wstaję, do szkoły się szykuję, mamusia wychodzi z nimi do drugiego pokoju, rozmawia z nimi po niemiecku, a oni mówią:

- Na trzy dni, tylko na trzy dni. 21 października, poszłam do szkoły rano, jak zwykle, uczył nas wtedy pan Kiełbasiński. Powiada, że o godzinie 10.00 mają zginąć przy placu Kościuszki obywatele z miasta Leszna. Mój tatuś trzy dni temu został zabrany. Za chwilę był dzwonek i pan Kiełbasiński wyszedł, a ja za nim biegnę i mówię:

- Czy ja mogę opuścić szkołę?

Tornister zostawiłam i na plac Kościuszki w Lesznie. Kiedy dobiegłam, usłyszałam salwę. Ale mój tatuś przecież był aresztowany, więc biegnę między ludźmi. Wtedy otwierają się bramy więzienia, wychodzi, wychodzi kilku więźniów, podchodzą do tych leżących na ziemi, podnoszą ich, biorą, jeden za dwie ręce, jeden za nogi i noszą do wozu, który stoi. Do samochodu

ciężarowego obok i wrzucają ich, jak jakieś kłody. I w tym momencie, patrzę – biorą jednego – Przecież to mój ojciec! Przecież to mój ojciec, biorą go i niosą. I już więcej nic nie wiem.

JZ: A po czym pani poznała, że ojciec?

IS: Po jego tuszy, on był gruby, po tym jak leżał, tak odchylony. I byłam na 100% pewna, że to jest mój ojciec. Ale już więcej nic nie wiem, bo mi się słabo zrobiło.

JZ: Jest takie zdjęcie, tak? Może pani je pokaże?

IS: To są tragiczne zdjęcia - tutaj jest pokazane, jak wychodzą z bramy więziennej, pod mur. Stają pod tymi workami i tracą życie. A jeden z tych rozstrzelanych wstaje, coś krzyczy. W tym momencie dochodzi do niego i go tutaj dobija.

To był mój ojciec. Miał lat 39. Inwalida, Powstaniec Wielkopolski. Mam również gryps, list, który otrzymaliśmy przez pana, który donosił tam pieczywo, do więzienia, leszczyńskiego więzienia, pisany 21 października w 1939 roku, godzinę przed rozstrzelaniem.

JZ: Proszę przeczytać, jak pani może.

IS: Ojciec pisze:

„Ukochana droga żoneczko, kochające, ukochane dzieci. Ostateczne moje słowa, kochająca droga żoneczko. Staraj się o nasze drogie kochane dzieci, bo jeśli ginę, to ginę zupełnie niewinnie. Żadnemu Niemcowi nic nie zrobiłem.”

Pisze tutaj widocznie drżącą ręką, bo troszeczkę są niewyraźne te jego litery, i kończy w ten sposób:

„Nie wiem, czy otrzymamy jeszcze księdza, kończę kochani ten mój list, całuję was bardzo serdecznie, ściskam, kochający wasz tatuś i kochający twój mąż. Tomasz Wachowski”

JZ: Czyli to jest ostatni ślad od ojca, ostatni list?

IS: Ostatni ślad ojca.

JZ: Dobrze. Co dalej z wami się dzieje?

IS: No dalej smutek w domu, płacz. Ojciec był wspaniałym człowiekiem, każdemu lubił pomagać, a tutaj dni muszą biec dalej. Zbliża się Gwiazdka, cieszymy się. 6 grudnia, cieszymy się na Mikołaja, a tu rano znowu walenie do drzwi, strach okropny, mama otwiera, wchodzi dwóch, nie wtedy było trzech, trzech cywilów i w języku niemieckim do mamusi się zwracają:

- *Alle raus!* Pojedziecie do *Kongresspolen*, do Generalnej Guberni, jesteście wysiedleni, macie 15 minut czasu, proszę się spakować.

Mój braciszek zaczął płakać, mama nerwowa cała. Zaczyna pakować.

- Nie! Macie tylko zabierać jedną zmianę. Jedną zmianę bielizny macie zabierać.

Dla mnie najważniejszy był tornister. Wkładałam moje książki. Mamusia mówi – Jedną książkę zabierz, bielizny weź troszkę w ten tornister. Uprosiła ich, żeby nam pozwolili zabrać wózek dla

braciszka. Wózek, taką sportkę, bo miał przecież wtedy 4 lata dopiero. No i zgodzili się na to. Zgodzili się na to.

- *Schnell! Schnell!* Prędko, prędko! Zabierajcie się! Idziemy.

Poprowadzili nas przez Leszno, na plac Metziga, do szkoły. Przyszliśmy do szkoły. Już były tam dwie panie, też z dziećmi. Była pani Łukomska, z malutką Mysią, swoją chyba dwuletnią córeczką. Była babunia z dwoma wnukami, pani Żmudowa. Wszyscy oczywiście, dzieci płakały, a matki i babcie były poproszone do pokoju obok, gdzie musiały składać relację, dane osobowe przekazać itd. Zapytano Mamusię, czy ma jakąś biżuterię, to potem mama przysłała i nam to powtarzała, bo byliśmy ciekawi. Jedzenia nam nikt nic nie dał, tylko to co mama w pośpiechu zdążyła zabrać. Wyjść nikomu nie było wolno, bo ze szkoły, w której byliśmy zamknięci, nie było wolno wychodzić do Leszna. Do miasta. Było bardzo smutno.

Po trzech dniach musieliśmy zabrać, bo mieliśmy ze sobą tylko walizkę, mieliśmy ze sobą wózek, braciszek jakąś tam miał małą zabawkę za sobą, ja tornister na plecach, bo to było dla mnie bardzo ważne, z jedną książką i z jedną zmianą bielizny. I tak zaprowadzono nas na dworzec w Lesznie. Załadowano nas do wagonów, i jechaliśmy chyba niecałą dobę. Jechaliśmy do Tomaszowa Mazowieckiego, no i tam oczekiwali na nas już tomaszowianie.

W Tomaszowie Mazowieckim bardzo wielkie zainteresowanie tomaszowianie okazali nam, wszystkim wysiedlonym, i zaraz zabierali do siebie poszczególne osoby. Myśmy trafili do państwa Rozpędowskich, dali nam jedno pomieszczenie. Pomieszczenie, które dawniej było sklepem jakimś. Nic w nim nie było, tylko stał kaflowy piec. Więc przynieśli nam słomy troszeczkę, snopki słomy. Jeden pan przyniósł nam gnom, to był taki piecyk, który się przykręcało do pieca kaflowego, bo nie mieliśmy żadnego opału. No i tak pani Łukomska z Mysią mieszkała z nami razem, mieszkała babunia z dwoma wnukami i moja ukochana mama z bratem i ze mną.

Bardzo było ciężko, pierwsze jedzenie nam sąsiedzi przynieśli, a później już musieliśmy się sami starać. Po mleko chodziłam bardzo, bardzo daleko dla dzieci, bo ja miałam dwanaście lat, a chłopiec Irek i Lutek, który był wysiedlony z babunią, jeden miał chyba może 5 lat, a drugi 6, jeszcze do szkoły nie chodzili. No i mała Mysią. Często byliśmy głodni.

A zima ciężka. Rano jak chcieliśmy wyjść – nie mogliśmy, bo drzwi były przymarznięte. Ale na szczęście za piecem leżała podkowa. Od konika podkowa, więc wzięłam i ten lód przy tych drzwiach tą podkową odkuwałam. I tak tyle lat trwała ta męka.

JZ: A mama pracowała gdzieś?

IS: Ale jeszcze powiem coś. Zbliżyła się Gwiazdka. Nie mieliśmy żadnych mebli tam, przyszedł pan i mówi:

- Proszę pożyczcie sobie sanki, bo od rodziny macie na dworcu paczkę, a jest taka duża, że trzeba sanki zabrać ze sobą, bo nie uniesiecie.

No więc pani Rozpędowska pożyczyła nam saneczki, ja z mamusią na dworzec. A mieliśmy w rodzinie krewnych, którzy pracowali w Zbąszyniu na dworcu. Jeden z kuzynów był kierownikiem pociągu i nadali nam paczkę na Święta. Była to duża skrzynia, a w tej skrzyni żywność. Chleb, upieczony przez ciocię w piecu chlebowym, woreczek mąki, jeden litr oliwy, kilka kosteczek masła, zrobione przez ciocię na gospodarstwie. I tak Święta mieliśmy wspaniale. Bo ta skrzynia służyła nam jako stół. Siedzieliśmy okrakiem przy tej skrzyni i jedliśmy kaszę manną, polaną masełkiem, świeżym, wiejskim masełkiem.

Wszyscy: Mysia, Lutek, Irek, Irka, babunia, pani Łukomska i nasza mamusia. Takie były Święta, pierwsze Święta gwiazdkowe w 1939 roku. I w następstwie musieliśmy się starać, mamusia gdzieś uzyskała jakąś pracę przy zmywaniu naczyń. Ja z kolei za pośrednictwem pani Rozpędowskiej zostałam przyjęta do państwa Dreznerów, którzy produkowali w domu cukierki i mieli taki mały sklepik przy ulicy Antoniego w Tomaszowie Mazowieckim. Moim zadaniem było zajmowanie się ich pięcioletnim synkiem Andrzejkiem. No i tak trwało, dzień za dniem, byłam u nich do godziny 21.00, potem do domu i następnego dnia, znowu z powrotem do pracy. W niedzielę, wracając z kościoła, zostałam złapana w łapance, którą Niemcy w Tomaszowie Mazowieckim też często organizowali.

Kiedy mnie złapali, oczywiście spisali wszystkie dane personalne i przydzielili mnie do pracy, na placu budowlanym, do noszenia desek. I przez 10 godzin nosiłam deski z jednego miejsca na drugie, a pilnowali nas umundurowani w czarne mundury ze swastyką tutaj na rękach. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że oni już zlikwidowali ten swój plac budowy, i przyjechała do Tomaszowa Mazowieckiego na dalsze prace firma Henrika Exnera z Berlina, która miała za zadanie, wykonywanie prac podziemnych. Ktoś musiał mnie chyba dobrze zarekomendować, bo zaproponowali mi pracę w magazynie u nich, przy wydawaniu sprzętu budowlanego. I w tym magazynie pracowałam od rana godziny 8.00 do późnego popołudnia, wydawałam różny sprzęt, łopaty, kilofy, drobny sprzęt, a druga pani, która pracowała ze mną razem, spisywała wszystko i notowała, po południu pracownicy musieli znosić. I muszę powiedzieć, kierownikiem był tam pan Bodenstein. Pracowało mi się dobrze. Ciężka była bardzo praca, ale już troszkę tego grosza dostałam. Nigdy nie dostałam żadnego dokumentu, że tam pracowałam. Pewnego dnia pan Bodenstein powiedział – on wiedział, że ja jestem wysiedlona – i pewnego dnia powiada, mówi: - Ireno, prace tutaj się kończą i przenosimy się do Poznania.

No to ja się bardzo ucieszyłam, bo w Poznaniu była moja rodzina, byli moi dziadkowie, był mój wujek. Ucieszyłam się bardzo i spytałam się – Czy ja mogę również pojechać z wami?

- No, tego my nie wiemy jeszcze. Ale zobaczymy.

W międzyczasie, moja mama poznała pana, który się nazywał Sommerfeld, który był folksdojczem, jako Polak zrobił się folksdojcz, przyjął obywatelstwo niemieckie i - może on miał

jakiś wpływ - w każdym razie, po jakimś czasie dowiedziałam się, że będę mogła z nimi przejechać do Poznania.

Było mi przykro, bo musiałam zostawić mamę, musiałam brata zostawić, ale myśleliśmy, że może już rzeczywiście będzie lepiej, może będę mogła im pomóc troszeczkę, będąc tutaj w Poznaniu w rodzinie.

Nie myślałam, że to przekroczenie granicy będzie takie ciężkie. W kartoniku malutkim zabrałam moją bieliznę, na zmianę, bo więcej nie było. Udałam się na dworzec, miałam jakieś przepustki od tego pana Bodensteina, jakieś pismo. Wsiadłam do pociągu, to był bardzo późny wieczór, pociąg był cały zaciemniony, no i jechałam ciesząc się, że zobaczę rodzinę w Poznaniu. Nie wiem, jakim przejściem granicznym przechodziłam, bo wszędzie było ciemno. W każdym bądź razie na przejściu granicznym – nie wiem, gdzie to było – musiałam wyjść, a nie tylko ja sama, bo w pociągu więcej osób jechało jeszcze. I kobiety osobno i mężczyźni osobno, zaprowadzili nas – przez peron przeszliśmy – do jakiegoś domu, w którym do oświetlonej sali wchodzimy, a tam są trzy stoły, za stołami mężczyźni w białych kitlach.

- Do drugiego pokoju wszystkie kobiety, do naga się rozebrać!

No więc to było okropne. I nadzy! musieliśmy podchodzić do tych mężczyzn za stołami, podawać swoje imię i nazwisko, okropny ich wzrok był, jak nas mierzyli od stóp do głów, przede mną stała jedna kobieta w ciąży.

W międzyczasie przyszła pani z drugiego pokoju:

- Proszę *zu Entlausung*! Proszę do odwyszarzania.

Zabrała nas do drugiego pokoju, pod prysznic, śmierdzącą cieczą nas zlano, nasze całe ubranie zabrano, śmierdzące wróciło do nas, i z powrotem do pociągu.

Przyjechaliśmy do Poznania, wychodzę na stację, a za mną idzie jeden starszy pan i mówi:

- No ale co zrobimy? Gdzie my pójdziemy? On też jechał tym pociągiem. – Gdzie teraz się podziejemy?

A ja miałam adres do mojej przyjaciółki, z którą zawsze bawiłam się na wakacjach, która mieszkała w Chludowie pod Poznaniem, jej babcia, i tam się spotkałyśmy, również na probostwie u mojej mamusi brata, który był proboszczem. Ksiądz Jan Paczkowski.

Miałam do niej adres, ona mieszkała przy Rynku na Śródcie w Poznaniu. A ten pan mówi, starszy człowiek, o laseczce, bo nóżkę miał chorą, mówi:

- Proszę panią, tak się składa, że ja też idę w tym kierunku. Ale musimy iść bokiem, nad Wartą, bo jest godzina policyjna.

I był tak uprzejmy, że zabrał mnie, przeszliśmy przez most, doszliśmy do Śródki. Nigdy w tym domu nie byłam. I po omacku. On mówi:

- Ale ja już teraz muszę cię zostawić, bo idę do swojego domu.

Nie wiem jak się nazywał. - Musisz sobie sama radzić.

No więc po omacku - wiedziałam, że państwo Coftowie mieszkają na pierwszym piętrze. Po omacku, po schodach na czworakach, mój kartonik pod pachą. I pukam do drzwi. Otwiera mi pani Coftowa:

- Skąd Irenko? Skąd ty się tu wzięłaś?

Popłakałyśmy się obydwie, uszykowała, co miała, gorącej herbaty, kawałek chlebka zjadłam, przespałam się. Było to bardzo wzruszające.

JZ: I podjęła tam pani pracę? W Poznaniu?

IS: Proszę?

JZ: Podjęła pani pracę w Poznaniu, tak?

IS: Właśnie w tej firmie Exner. Oni tutaj w Poznaniu pobudowali taki barak przy rynku Śródeckim i ja byłam tam jako kontystka. Byli wśród nich też dobrzy Niemcy. Bo pan Bodenstein wiedział, ja mu powiedziałam, że mój ojciec był rozstrzelany. A mimo tego postarał się, że ja do rodziny mogłam wrócić.

Pracowałam tam, o ile pamiętam, chyba trzy czy cztery czy pięć miesięcy. Oni pracę skończyli, co się z nimi stało, nie wiem, czy dalej znów gdzieś pojechali. A mnie urząd pracy w Poznaniu, przydzielił do firmy Löllwitz, która mieściła się przy ulicy Główniej w Poznaniu. Miałam tam bardzo ciężko, a ponieważ znałam język niemiecki, obsługiwałam i Polaków i Niemców w tym sklepie. Był to sklep żywnościowy. Ja opowiadałam w bardzo wielkim skrócie wszystko, bo przecież to już tyle lat temu było.

JZ: To jak jesteśmy w sklepie, to niech Pani powie, co mogli kupić Polacy, co Niemcy? Jak się zachowywali Niemcy?

IS: Tak, więc właścicielem tego sklepu był pan Löllwitz, on chodził zawsze w mundurze, bo był chyba zwolniony z wojska ze względu na jakieś rany, czy coś takiego. Ale miał swego przyjaciela – psa. I on był wytresowany, ten pies, tak że nie pozwolił, żeby ktokolwiek coś ze sklepu wziął do ust. Po prostu reagował od razu na to.

Rolf, wabił się Rolf. Siedział zawsze przy swoim panu w kantorku i obserwował. W okienku obserwował, co się dzieje w sklepie. Niemcy mieli wydzielone stanowisko, mieli masełko, wędliny itd., oczywiście wszystko na kartki. A z drugiej strony Polacy, ale dla Polaków nie było przecież, tylko troszeczkę oni mieli, bardzo małeńkie te porcje, które były dla nich przydzielone. Teraz to było bardzo ciężkie dla mnie przeżycie. W niedzielę musiałyśmy przychodzić do pracy, pracowałyśmy we trzy i pani, która sprzątała. Musiałyśmy w niedzielę przychodzić do pracy i na papiery kleić te kartki żywnościowe.

I jedna z pracownic, widocznie coś wzięła do ust, a pies potrafił z kantorku sobie sam otwierać klamkę, był to duży wilczur i otwierał sobie łapkami klamkę. Pani, która sprzątała

podłogę, szczotkę taką miała w ręku na kij, widocznie wzięła sobie kawałek masełka, czy coś takiego do ust. Pies na to zareagował, rzucił się na nią i zaczął gryźć ją w nogi. Ja w tym momencie stałam na regale, bo ustawiałam coś, jakieś puszkę czy coś takiego, widzę, że on gryzie tę sprzątaczkę, skacze z tego regału na psa grzbiet, chwytam jego obręcz, obręcz miał taką jak łańcuch na szyi, chwytam go, piesek wyciąga język, a kobieta przede mną krwawi. Byłyśmy zamknięte, nie mogłyśmy nigdzie wybiec. Dziewczyny dwie, które kleiły te znaczki, krzyczą. Ludzie idą, mówimy, że pan Löllwitz mieszka kilka domów dalej.

Pobiegli do niego, przyszedł od razu. A ja stale na tym psie, na jego grzbiecie, trzymam go tu kureczowo. Pan Löllwitz wchodzi w mundurze, tutaj u boku ma pistolet, wyciąga, widzi, że krew, kobieta krwawi. Wyciąga ten pistolet i idzie, a ja czuję, że psa nie zabije, ale mnie zabije. Jak pies zobaczył, że on wyciągnął pistolet położył się, a ja już nie miałam siły i zwolniłam ręce z tego łańcucha. Pan Löllwitz przyszedł, zabrał psa do tego kantorku, po kobietę przyjechało pogotowie, nogę, ranę jej obmyli i jakiś zastrzyk dali, a mnie zwolnił do domu, a ponieważ to już było po 15.00, dziewczyny też w niedzielę mogły pójść do domu. Takie wspomnienie miałam, że pies był ważniejszy od ludzi.

JZ: Pomagała pani rodzinie, tej na wysiedleniu? Bratu..?

IS: Proszę?

JZ: Jak Pani pomagała rodzinie, tej tam w Generalnej Guberni, co została?

IS: Nie miałam możliwości im pomagać. Bo potem nastąpiło już oswobodzenie. Po tym najtragiczniejszym wypadku z tym psem na Główniej, udałam się do mojej cioci, która mieszkała tutaj w Poznaniu, do cioci Praksedy, no i tam przetrwałam. Przeżycie było dla mnie to straszne. Ja miałam temperaturę, gorączkę miałam, psychicznie byłam zupełnie wykończona po tym przeżyciu, I wtedy już mnie oswobodzenie zastało.

JZ: I kiedy się rodzina połączyła? Żeby zakończyć.

IS: Tak, więc rodzina, w międzyczasie moja mamusia tam też jeszcze pracowała w Tomaszowie Mazowieckim, najbardziej ucierpiał na tym mój brat, Henryk, bo on przecież był dzieckiem. Często jak mama chodziła do zmywania tych naczyń, to on w domu musiał być sam zamknięty.

JZ: Jak wyglądał moment połączenia rodziny, ich powrotu?

IS: Od razu - może brat będzie mógł więcej powiedzieć - jak oni wrócili, moje spotkanie było takie, że wrócili do Poznania, ja do Leszna, od razu z Poznania. Jak tylko była możliwość, pojechałam do Leszna i rozpoczęłam naukę w gimnazjum handlowym w Lesznie, i oczywiście wróciliśmy na nasze mieszkanie, które było zupełnie już splądrowane, nic już tam nie było, nie mieliśmy niczego po powrocie, bo przecież wszystko Niemcy zabrali, wszystko Niemcy zabrali.

Ogromna była radość. I pierwsza moja praca w Lesznie, uczyłam się i pierwsza moja praca była jako sekretarka w Urzędzie Miasta Poznania.

IS: To jest dokument zgonu, wypisany przez urzędnika stanu cywilnego, w zastępstwie podpisany przez Schreibera. I treść jest następująca:

Leszno, dnia 24 lutego 1940 roku.

Oglądacz trychinów, Tomasz Wachowski, katolik, zamieszkały w Lesznie, ul. Kościańska 74, zmarł dnia 21 października 1939 roku o godzinie 10 minut 15, w Lesznie na placu Kościuszki.

Zmarły urodził się 12 września 1899 roku w Zbąszyniu.

Ojciec - Piotr Wachowski, zamieszkały w Nądni, powiat Nowy Tomyśl, matka - Julia Wachowska z domu Grzeško - błędnie jest napisane Przeszko - zamieszkała w powiecie Nowy Tomyśl.

Zmarły żonaty z Jadwigą Wachowską z domu Paczkowski, wpisane na mocy doniesienia ustnego/ pisemnego policji bezpieczeństwa w Lesznie.

I oczywiście jest na dole:

Przyczyna zgonu – urzędowo rozstrzelany.

Urzędowo rozstrzelany.

Leszno, 26.02.1940 roku. Podpisany – w zastępstwie – Schreiber.